

Kozakowski Andrzej

Krok we mgłę

Z „Fahrenheit

Silniejszy podmuch wiatru zerwał z ogłoszeniowego słupa stary plakat. Znajdująca się na nim, wyblakła twarz uśmiechniętego mężczyzny tańczyła przez chwilę w powietrzu, aż plakat wpadł do kałuży w zatoce przystanku. Chwilę później, autobus ekspresowej linii "D", wduślił go swoim prawym kołem w czarną wodę. Taki jest los tych, co przegrali.

Wysiadła jako jedyna. Kilku roześmianych facetów siedzących z tyłu, odprowadzało ją wzrokiem, kiedy mijała przystanek. Było niedzielne przedpołudnie, a to było Mucken Industry Zone, same fabryki i magazyny. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła żadnego człowieka. Zadrżała od chłodu i postawiła wyżej kołnierz ciemnofioletowego płaszcza. Poprawiła na ramieniu pasek czarnej torebki i zaczęła iść w kierunku budynków Puelle Parfums.

- Spokój! - strażnik zawołał na dwa rotwailery szczekające w kierunku bramy wejściowej.

- Dzień dobry - przywitała się - czy mogę wejść?

- Tak, pani Sawers, zaraz otworzę, tylko uwiążę te bestie. - Strażnik oddalił się, wołając na psy. Zamknął je za drucianą siatką i wrócił, by otworzyć bramę.

- Proszę jeszcze ze mną, podpisać wejściówkę - dodał, gdy szli razem w kierunku stróżówki.

Kompleks Puelle Parfums zajmował spory plac. Całość ogrodzona była wysokim betonowym płotem. Oprócz stróżówki, przyklejonej do ogrodzenia, od strony bramy wjazdowej, znajdowała się tu sporej wielkości, dwukondygnacyjna hala produkcyjna, dwa magazyny, futurystycznie wyglądający, parterowy budynek biurowy i położone nieco dalej dwupiętrowe laboratorium. Po załatwieniu formalności kobieta udała się właśnie do niego.

Weszła do przeszklonego hallu i podążyła korytarzem w kierunku wind osobowych. Przesunęła swoją kartę magnetyczną przed czytnikiem i zjechała na trzecie piętro, podziemny poziom kompleksu. W przebieralni zdjęła i powiesiła na wieszaku płaszcz. Założyła biały fartuch. Otworzyła podciśnieniowe drzwi i przeszła do pomieszczeń badawczych. Cały czas towarzyszył jej miły, słodkavo-owocowy zapach. Odnalazła drzwi z tabliczką głoszącą "Anna Sawers", wstukała na klawiaturze, umieszczonej nieco z boku, kod i weszła do gabinetu. Wyciągnęła z kieszeni spodni coś wielkości samochodowego pilota i pstryknęła tym w kierunku umieszczonej w rogu gabinetu kamery. Spojrzała na trzymany w dłoni przedmiot, na którym mrugnęła zielona dioda. Uśmiechnęła się.

Była wysoka, miała prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i szczupłą sylwetkę. Jej chód sprawiał wrażenie, jakby była nie pracownicą laboratorium, a przynajmniej stewardessą. Lekko falowane, ciemnokasztanowe włosy opadały jej na ramiona. Miała ogromne, niebiesko-szare oczy nadające jej twarzy nieco egzotyczny wygląd.



O AUTORZE

Andrzej Souless Kozakowski - rocznik 1972. Białostoczanin. Publikował wiersze w "Witrażach" i "Gazecie Akademickiej". Prozę, a dokładniej shortami, zainteresował się później. Publikował w Esensji, później w Science Fiction. Przez rednacza SF namówiony do tworzenia dłuższych form, napisał więc "Robaki na cmentarzysku", opublikowane później w SF.



Kobieta przywiązana do biurowego krzesła, poza wściekłą miną i faktem, że była w samej bieliźnie, wyglądała identycznie jak Anna. Mogłyby być bliźniaczkami.

- No i co tam słyhać, pani Sawers? Jak udał się dzień? - Kobieta, która przed chwilą weszła, roześmiała się głośno. Druga Anna nie odezwała się.

Śmiejąca się wciąż kobieta sięgnęła lewą ręką pod swoje włosy i jej twarz zaczęła się zmieniać. Po kilkunastu sekundach w niczym już nie przypominała wcześniejszej. Była o wiele bledsza i bardziej nalana. W ciągu następnej minuty zmieniły się też proporcje jej ciała. Stała się o wiele niższa, choć równie szczupła. Wykonała kilka skłonów, naprężeń i dziwnych min, jakby rozciągała zmęczone mięśnie.

- Coś to twoje ciało trochę niewygodne - ponownie wybuchnęła śmiechem. - Powiedz mi, kochanie, co to za mężczyzna ma klucze od twojego mieszkania? Zaskoczył mnie w nocy. Przystojniaczek

z niego - zaśmiała się ponownie - na szczęście był trochę pijany. Najpierw się trochę opierał, ale potem, ech, przyjemnie tu macie z tym całym seksem. Był całkiem dobry, muszę ci powiedzieć, gratuluję gustu. To twój chłopak? Nie mówiłaś mi nic o nim? Ach, no tak, zapomniałam - podeszła do Anny, przywiązanej do krzesła i zerwała jej z twarzy szeroki plaster. - Tylko mi tu nie krzycz za głośno, nie lubię hałasu.

- To... ty szmato... - zaczęła mówić prawdziwa Anna, gdy tylko odzyskała głos. - Ty suko... to był mój brat.

- Hi hi hi, brat, nie mogę - stojąca kobieta zaczęła się nagle skręcać ze śmiechu, aż musiała oprzeć się o biurko. - Ale numer ci wykreciłam! - Jej twarz zaczerwieniła się, a ona sama, zaśmiewając się prawie do zakrztuszenia, usiadła na podłodze. - Uwiodłaś pijanego brata, ha ha ha, ty jesteś po prostu zboczona. Zboczona i do tego wariatka.

Przez kilka minut uspokajała ponawiające się wybuchy śmiechu. Podała związanej szklankę z wodą mineralną i poczekała, aż ta się napije.

- No, malutka, wypadałoby ci powiedzieć, co robiłaś wczoraj, zanim się rozstaniemy.

Otworzyła postawioną na biurku torebkę i wyjęła z niej pokryty zaschniętą krwią nóż.

- Otóż, kochanie, wczoraj wsiadłaś do taksówki, pojechałaś na Springstreet 11, włamałaś się do czyjegoś domu i tym nożem zamordowałaś pięcioletniego chłopca bawiącego się kolejką elektryczną - mówiła, patrząc na przerażoną i wściekłą Annę. - Niezbyt udolnie zacierając po sobie ślady, wróciłaś okrężną drogą do swojego domu. Taksówkarz, z którym wracałaś, na pewno dobrze ci zapamiętał. Jesteś całkiem ładna, a wczoraj ubrana byłaś w czarne mini i nie nosiłaś bielizny.

- Kim? Czym ty jesteś? - spytała cicho, z przerażeniem w głosie, Anna.

- Kim? Czym? Pytania i pytania. Czemu wy wszyscy tylko o to pytacie? Jakby robiło wam to jakąkolwiek różnicę - uspokoiła się trochę i przygładziła ręką czarne włosy. - Kosmitą jestem, UFO, rozumiesz? Albo Szatanem w żeńskiej postaci, ha ha ha, albo ci się tylko śni. Nieważne, kim jestem. Dla ciebie nie ma to już żadnego znaczenia. W pewnym sensie żał mi cię trochę, ale na pewno nie na tyle, żeby ci pozwolić żyć. - Pociągnęła nosem i wysunęła do przodu dolną wargę. - Dobra, my tu sobie miło gawędzimy, a na mnie już czas. Pa, milutka, pozdrów brata - ponownie zaczęła się głośno śmiać.

Wyjęła z kieszeni ten sam przyrząd, którym poprzednio pstrykała w kierunku kamery, wcisnęła kilka razy znajdujący się na nim czerwony przycisk, podeszła do skrupowanej Anny, przystawiła jej przyrząd do szyi i nacisnęła zielony. Anną wstrząsnął spazm jak przy uderzeniu prądu, po czym jej głowa opadła.

- Słodkich snów, kochanie - dodała bardzo cicho ta druga. - Polubiłam cię nawet trochę, sama nie wiem, czemu. Może przez twojego brata? Dlatego jednak będziesz żyć, no dobra, nie dlatego, ale sama nie wiem, co byłoby dla ciebie lepsze.

Rozwiązała Annę, rozmasowała jej ręce i położyła ją na podłodze. Wzięła do ręki leżący na biurku nóż, nacięła nim lewy nadgarstek nieprzytomnej, nie uszkadzając jednak tętnicy i wsunęła go do jej prawej dłoni. Wywróciła szafę z dokumentami, podniosła na chybił-trafił jedną z teczek i dokładnie podarła to, co w niej było. Rozebrała się do naga, rozrzucając ubranie po całym gabinecie. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem całe pomieszczenie, podniosła chwilowo odłożony na biurko przedmiot, wyglądający jak samochodowy pilot, i stanęła w rogu, tuż pod kamerą. Skierowała na nią przedmiot i pstryknęła. Na kamerze zapaliła się czerwona dioda. Wsunęła miniaturowe urządzenie do ust, skrzyżowała ręce na piersiach, mocno pochyliła głowę, zamykając oczy. Językiem wymacała przycisk i nacisnęła go. Powietrze nagle wypełniające próżnię, która pojawiła się w miejscu, gdzie stała jeszcze przed ułamkiem sekundy, wydało odgłos głuchoego kłaśnięcia.

- Jak się pani nazywa? - zapytał wyższy z policjantów przesłuchujących Annę. - Czy rozumie pani, co do pani mówię?

Anna siedziała na drewnianym krześle, opierając się o ścianę, w jednym z pokoi lokalnego posterunku. Tępy wzrokiem patrzyła przed siebie, skupiając spojrzenie o wiele dalej, niż ściana pomieszczenia. Głowę miała odrzuconą trochę do tyłu i na lewy bok. Z kącika jej ust wypływał wąski strumyk śliny. Nie odpowiadała. Co jakiś czas wykonywała nieokreślony gest ręką, jak gdyby odganiała natrętą muchę.

- To bezcelowe - odparł drugi - oddajmy ją psychiatrom. Z nią chyba naprawdę coś jest nie tak.

- Pieprzę taką skuteczność. Znowu morderca wykpi się ładnymi, białymi ścianami.

Pomieszczenie miało trzy, na trzy, na dwa i pół metra wysokości. Jego ściany, podłoga i sufit obite były podobną do gąbki materią. Jedyne urozmaicenie stanowiła okrągła lampa, wpuszczona w sufit tak, że żadna część nie wystawała poza gładką powierzchnię.

Anna ubrana w jasnozielone spodnie i koszulę, leżała mniej więcej pośrodku pokoju z rękami rozrzuconymi na boki. O tym, że ciągle żyje, świadczyły tylko nieregularne mrugnięcia powiekami i plama moczu pomiędzy jej nogami. Jej wzrok, mimo wielu rzeczy, które z nią robiono od czasu kiedy znalazła się w tym miejscu, ciągle skupiony był w jednym punkcie. Nie było to miejsce w naszej czasoprzestrzeni.

Obserwowała kobietę wyglądającą dokładnie tak jak ona sama. Stojącą w oddali, we mgle. Widziała jej postać, nagą, a jednocześnie obrysowaną jakiegoś rodzaju świetlistym konturem. Postać, która coś do niej krzyczała, lecz żaden głos nie był w stanie przebić się przez ryczący dźwięk huczącego wodospadu jej własnej krwi. Postać machała do niej ręką, zachęcając ją, by poszła w jej kierunku. A Anna się bała. Stała niezdecydowana na twardym podłożu przypominającym biały marmur. Kilka kroków przed nią skupiała się, kłębiła i falowała biała mgła, czasami tak gęsta, że nie przepuszczała żadnego obrazu i widać było tylko białą kipieli. Czasami przeredzała się na tyle, by ukazać wyraźnie wołającą, kobiecą postać. Zdarzało jej się rzednąć na tyle, by ukazać pozostałą część krajobrazu. Cały szczyt góry, na której stała Anna, wierzchołek, na którym stała ta druga i bezdenną przepaść, rozdzielającą je od siebie. Przepaść, którą starała się ukryć mgła.

Ile czasu tam stała? Ile czasu? Czasu? Czym był czas w tym miejscu? Był czymś tak samo abstrakcyjnym jak samo to miejsce. Miejsce? Mgła, wodospad, skały, marmurowe podłogi, kafelki, z których składało się niebo, zmieniające się nieustannie, ustawiające się w symetryczne wzory, wszystko i nic jednocześnie. I to uczucie, zupełnie dla niej nowe, którym w końcu przesiąknęła cała. Uczucie, będące całkowitym brakiem uczuć, co tworzyło całkiem nowy rodzaj doznania. Oczyszczające umysł i duszę. Teraz była sobą. Już tylko sobą i niczym, i nikim innym.

Kafelki nieba utworzyły kolejny wzór, z którego spadł mężczyzna. Śledziła jego spadanie kąciakiem oczu. Wylądował zgrabnie na nogach tuż obok Anny. Był nagi, jego skóra lekko świeciła delikatnym, mlecznobiałym blaskiem. Wyższy od niej o pół głowy, szczupły, dobrze zbudowany, choć na pewno nie atletyczny. Był w nieokreślonym wieku. Przez umysł Anny przebiegło szybkim tupotem, podobnym do tupotu małych, mrówczych nóżek, zdziwienie. Coś, co kiedyś było zdziwieniem, a teraz wpłynęło na nią niemal fizycznie, odgrywając nową melodię w nieustającym hałasie przepływającej krwi. Skądś go znała, choć nigdy wcześniej nie widziała. Był bardzo podobny... do kogo? Był podobny do siebie, to oczywiste, lecz kimże podobnym do nikogo, czyniło go to miejsce? Na chwilę przestała patrzeć na wołającą ją kobietę i spojrzała uważnie na mężczyznę, który tymczasem zdążył do niej podejść i stał teraz u jej prawego boku, na wyciągnięcie ręki. Tak, teraz go poznała. Był podobny do siebie. Był podobny do Anny. Był Anną. Tak by wyglądała, gdyby urodziła się mężczyzną. Jej, jego, ich myśli spotkały się w miejscu, w którym spotkały się palce ich dłoni.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał.

- Tak, teraz już wiem.

- Wiesz, po co tu jestem?

- Jesteś tu, by mi pomóc.

- Tak, jestem tu po to, byś się przestała bać. Strach cię ogranicza. Strach zaczął cię pochłaniać, spójrz - drugą ręką wskazał na jej stopy. Podążając wzrokiem za jego dłonią, spojrzała na nie. Obie były zrobione z tego samego marmuru, co posadzka. Skamienienie jej ciała sięgało już wysokości łydek i powoli posuwało się wyżej.

- To dziwne, ale ja się wcale nie boję - odpowiedziała cicho.

- Twój strach jest kamieniem, z którego zbudowałaś to miejsce. To, kim wydaje ci się, że teraz jesteś, to tylko samo jądro twojej osobowości. Najmniejsza rzecz, która skupia mikroskopijne okruszki wszystkich cech twojego charakteru, osobowości i uczuć. Coś, co w tym świecie nie może istnieć bez całej reszty. Coś, co nie może umrzeć.

- Czy jestem teraz swoją duszą? - zapytała.

- Tak, to jest właśnie twoja dusza.

- Czy umarłam?

- Nie, nie umarłaś. Gdybyś nie żyła, twój strach nie miałby do ciebie już dostępu, tak samo jak żadne inne, wcześniejsze uczucie. Byłabyś wolna od tego wszystkiego, co tutaj sama sobie stworzyłaś.

- Dlaczego więc rozmawiam z sobą, tobą, mną?

- Ponieważ nie chcesz się poddać. Nie chcesz, by ogarnął cię strach i pochłonął całkowicie. Dlatego zbudowałaś te góry, tę mgłę i dlatego tam, na drugim szczycie płonie twoja nadzieja. Dlatego odgradziłaś się od świata żywych tym pięknym, mozaikowym niebem.

- Co się ze mną dzieje? Z tą prawdziwą, tą, kim byłam, zanim trafiłam tutaj? Nic nie pamiętam.

- Nie pamiętasz, bo odgradziłaś się od wszystkiego, również od swojej pamięci. Udałoby ci się to, lecz twój strach był silniejszy, przedostał się do ciebie i wspiał nawet na tę górę. Musisz go teraz pokonać, zobacz, pochłania cię coraz bardziej - ponownie spojrzała na swoje nogi, przemienione w kamień, tym razem już powyżej kolan.

- Jak więc mam przestać się bać, skoro nawet nie czuję swego strachu? - zapytała.

- Pomogę ci. Wiem, jak to zrobić. Ty też wiesz, co może być silniejsze od strachu, co zawsze go pokona. Przecież po to mnie tu przywołałaś.

- To ja cię przywołałam?

- Tak, Anno, patrz na mnie - powiedział i podszedł tak blisko, że ich piersi się zetknęły.

Spletli razem palce obu dłoni. Opuścili ręce, by spływały wzdłuż ich ciał. On przysunął się jeszcze bliżej do niej i rozchylił usta. Ona wiedziała, co ma robić. Pocałowała go i zamknęła oczy. Po chwili wyczuła, sztywniejącą między swymi udami jego męskość. Nie otwierając oczu, przyciągnęła go do siebie i pozwoliła, by akt się dopełnił. Jediną zmianą w otoczeniu, która towarzyszyła ich szczytowaniu, była nagła, całkowita cisza. Po chwili odgłos wodospadu krwi pojawił się znowu, tym razem jednak o wiele cichszy. Dopiero wtedy otworzyła oczy i zrobiła krok w tył. Naprawdę jestem ładna - pomyślała, oglądając stojące przed nią ciało, całkowicie zmienione w kamień, z uchwyconym na twarzy grymasem ekstazy.

- Więc teraz jestem mężczyzną? - zapytała posąg.

"Zawsze nim po części byłam, bo tak naprawdę potrafiłam kochać tylko siebie" - odpowiedziała sama sobie w myślach. Spojrzała na swe dłonie, spuściła głowę niżej, by zobaczyć swe piersi i krocze. Jednak nadal była kobietą. Powoli zaczęły pojawiać się w jej umyśle pojedyncze uczucia.

Rozejrzała się wokół siebie. Nic się nie zmieniło. Na sąsiednim szczycie stała bliźniaczo podobna do niej kobieta i machała zachęcająco ręką. Anna podeszła do krawędzi wzniesienia i odwzajemniła gest.

- No, w końcu. Ileż można na ciebie czekać? - tamta próbowała przekrzyczeć ryk wodospadu. Teraz było ją wyraźnie słychać.

- A która godzina? - odkrzyknęła jej Anna i uśmiechnęła się.

- Tak, to rzeczywiście bardzo śmieszne. Pokonałaś swój strach, to chodź w końcu tu do mnie. Ty musisz iść ze mną, bo sama nie dam rady zejść z tej głupiej skały. - "Nie dość, że pokonałaś strach" - pomyślała tamta, patrząc z niemym wyrzutem na Annę - "to jeszcze się zabawiłaś". Anna dokładnie usłyszała myśli tamtej. Były wyraźniejsze nawet niż jej głos. Nie zdziwiła się.

- Dlaczego to ja mam iść do ciebie, a nie ty do mnie? - pomyślała Anna.

- "Bo, moja pani" - pomyślała tamta - "wygodniej się schodzi ze szczytu po kamienistej skale, niż po śliskim marmurze".

- Co racja, to racja, tylko jak mam się do ciebie przedostać? - Anna wykonała wyraźny gest głową, obejmując wzrokiem oba szczyty, bezdenną głębię wokół nich i kłębiącą się między nimi mgłę.

- A tego, moja droga, to ja już nie wiem. Po prostu idź po tej mgle.

- Tym razem to ty jesteś śmieszna. A właśnie, kim właściwie jesteś? Przywykłam już, co prawda, że mogę tu spotkać swój strach w postaci fizycznej i męską stronę samej siebie. Kultura wymagałaby, żebyś się przedstawiła pierwsza. W końcu to ty do mnie machasz bez przerwy jak jakaś idiotka. Mam nadzieję, że nie jestem taka jak ty.

- To nie było zbyt miłe. To przykre, że nie wiesz. Czy mówi ci coś wyrażenie "instykt samozachowawczy"?

- Tak, hmmm, a więc to ty. Co cię tak ciągnie do tego życia? Ale tak naprawdę.

- Głupia jesteś - odrzekła tamta i odwróciła się do Anny plecami. Annę przeszedł nagle lodowaty dreszcz, nadchodzący od pięt, po plecach, a kończący się na skroniach.

- Dobra, przestań już - powiedziała w końcu Anna. - Przepraszam.

- Od razu lepiej, co? - zapytała, odwracając się ponownie twarzą do Anny.

- Tak. No, przepraszam jeszcze raz. Głupio mi, czuję się jak smarkula. Nigdy wcześniej nie miałam myśli samobójczych. Brrr, niedobrze odwracać się od swoich instyktów, ale jeszcze gorzej, gdy one odwracają się od ciebie. - Zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym podeszła do krawędzi urwiska, wyciągnęła przed siebie prawą rękę i zanurzyła ją w białej mgle.

- Zimna - powiedziała.

- A spodziewałaś się, że będzie inaczej? - odpowiedział instykt samozachowawczy.

- No, niby nie... Ale, ale - powiedziała, jakby sobie coś nagle przypomniała - coś mi się tu, moja droga, nie podoba.

- ...?

- Nie podoba mi się, że mój własny instykt samozachowawczy chce, bym przeszła nad bezdenną przepaścią, idąc jedynie po mgle. Nie uważasz, że to zbyt mało wiarygodne podparcie?



- Masz rację, ona cię oszukuje - podobny, lecz zupełnie nowy głos, docierał jakby zewsząd.

- Chwilkę, a kimże ty znowu jesteś i czemu cię nie widzę?

- To ja jestem twoim instynktem samozachowawczym. Widzisz mnie cały czas. To ja jestem tą mgłą. To ja tu cały czas próbuję odgrodzić cię od tej tam, skaczącej na drugim szczycie.

- Dobra, spróbuję się nie dziwić już niczemu - Anna potrząsnęła kilka razy głową - To kim w końcu jest tamta?

- Nie widzisz, czego ona chce? Żebyś skoczyła w przepaść. To twoje myśli samobójcze. Nie winię jej za to, kim jest. Ona po prostu chce, byś przestała cierpieć, tylko nie umie znaleźć i wybrać najlepszej drogi.

- Dlaczego mam wierzyć tobie, a nie jej? Masz może jakiś rodzaj dowodu?

- Nie, nie mam. Na całe nieszczęście, twoja wiara w siebie znajduje się gdzieś niżej. Faktycznie, to trudne. Nie będę cię winił, jeśli zdecydujesz się skoczyć. Spróbuję ci tylko w tym przeszkodzić, uprzedzam.

- Czekaj, skoro jesteś tylko mgłą, to jak możesz mnie powstrzymać?

- Patrz - powiedział głos i mgła nagle przybrała postać ogromnej głowy jakiegoś demona. Wzniosła się nad Annę, aż ta usiadła z wrażenia, takie to wszystko było nagłe i niespodziewane.

- Dobrze, już dobrze, nie strasz mnie już więcej - odparła Anna i rozkruszyła w palcach kawałki marmuru, które nie wiadomo kiedy przykleiły się do jej ciała.

- Nie powinnaś wierzyć tej podstępnej mgle - zakrzyknęła nagle ta druga. - Czy nie widzisz, że ona cię cały czas zwodzi i oszukuje? Wmawia ci, że chcę cię zabić. A co ona ma ci do zaproponowania? Ciągłe stanie na szczycie marmurowej wieży? Nie sądzisz, że to może być za mało, by przetrwać i wydostać się stąd?

- Tak, ciągle i zawsze tak - powiedziała zdezorientowana Anna. Jestem już tym wszystkim zmęczona. Przecież to ja stworzyłam to miejsce. Więc i ja mogę je zniszczyć, albo zmienić w co zechcę - powiedziała, po czym dość gwałtownie usiadła na krawędzi urwiska. Zaciśnęła powieki, skrzyżowała dłonie na piersiach i zaczęła myśleć o jakimś miejscu. Nie wiedziała jeszcze dokładnie, co to ma być za miejsce, ale próbowała się skoncentrować na tym, by nie było ono tak dramatyczne i groźne. Chciała pewności i bezpieczeństwa.

Nagle poczuła, że się topi. Momentalnie otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Ciągłe siedziała na krawędzi urwiska, ciągle otaczała ją mgła, zza której z drugiego szczytu wołała ją bliźniaczo podobna do niej kobieta. Anna uchwyciła jednak jakąś zmianę. Spojrzała w górę. Kafelki, z których złożone było jej niebo właśnie wracały na swoje miejsce. Pomiędzy czterema znajdującymi się tuż nad nią, zauważyła ogromną, czarną rękę, pokrytą gęstymi włosami. Z ręki kapłała krew. Kilka kafelków nieba miało na swych krawędziach rdzawe plamy. Na szczęście zdążyłam - pomyślała. Wygląda na to, że to jest najbezpieczniejsze miejsce.

- Pieprzona suka - zaklął czarnoskóry sanitariusz, przyciskając do lewego boku pogryzioną rękę. Na podłodze, w żółtej plamie gęstej zupy leżała wywrócona biała, plastikowa miska.

Do pomieszczenia szybko wbiegło dwóch kolejnych sanitariuszy. Złapali Annę za ręce. Nie stawiała oporu. Przenieśli ją z podłogi na jej łóżko i przywiązali plastikowymi pasami. Dwie godziny później, kolejny raz zebrało się w jej sali konsylium psychiatrów.

- Anna Sawers, lat 63, - zaczął ordynator - na oddziale od 38 lat. To nasza najstarsza stażem pacjentka.

- Sanitariusz zeznał, że podczas próby karmienia, pacjentka ugryzła go w rękę - dodał drugi lekarz, wysoki albinos. - Jest to jej czwarta aktywna reakcja na jakiś bodziec zewnętrzny. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

- To może oznaczać, że organizm pacjentki próbuje zwalczyć chorobę. Zgodnie z teorią Hanssena...

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł szybko trzeci lekarz, wyraźnie utykający na lewą nogę. Trzymał pod pachą plastikową teczkę z wynikami badań.

- Przepraszam panów za spóźnienie - zaczął mówić szybko, z przejęciem. - Mam najnowsze, pełne wyniki okresowych badań pacjentki Sawers. To z pewnością panów zainteresuje - powiedział, po czym otworzył teczkę i wyjął z niej plik komputerowych wydruków.

- To niemożliwe - powiedział ordynator, gdy tylko przestudiował oglądany papier.

- Nieprawdopodobne - dodał albinos. Usiadł przy stoliku, wyciągnął z kieszonki długopis i zajął się wyliczaniem czegoś na odwrocie wydruku.

- Sprawdziałem wyniki pięć razy - powiedział trzeci. - Nie może być mowy o pomyłce. Dopiero ten nowy aparat, zainstalowany dwa miesiące temu, był w stanie to wykryć i prawidłowo zinterpretować.

- Czy ktoś to jeszcze widział, oprócz pana i technika?

- Nie sędzę. Poza studentami, chyba nikt więcej nie interesuje się tym przypadkiem.

- Dobrze więc. Niech mi pan powie, co wie o tych środkach, które zostały wykryte w przysadce mózgowej pacjentki?

- Nie za wiele. Tyle, co wszyscy chyba. Hydro-meta-dwu-lumino-texyna, znana powszechnie, jako Metoltex. Najnowszy narkotyk, który można wyprodukować wyłącznie w stanie nieważkości i do tego mając dostęp do ludzkich organów: mózgu, nerek i grasicy. Wynaleziony przypadkiem, bodajże przez Chińczyków, podczas próby chemicznej utylizacji i wprowadzenia do ponownego obiegu płynów, pochodzących ze zwłok kosmonautów. Obecnie koszmarnie droga "rozrywka" dla zdeprawowanych bogaczy.

- Widzę, że śledzi pan nowinki i w tej dziedzinie - odparł ordynator. - Czy zna pan opisy działania tego narkotyku?

- Tak, oczywiście. Całkowite odłączenie umysłu od wszystkich receptorów, zanik fizycznej kontroli nad ciałem. Przeniesienie się umysłem w wymaginowany świat. Taki całkowicie kontrolowany sen na jawie, w którym można robić wszystko.

- Czy przypomina to panu objawy zaobserwowane u pacjentki Sawers?

- Tak, teraz tak - odparł trzeci, ocierając wierzchem lewej dłoni pot z czoła. - Ale działanie Metoltexu nie trwa dłużej niż sześć do ośmiu godzin, a przedawkowany pięciokrotnie, wywołuje zatory i obrzęk naczyń i w konsekwencji wylew krwi do mózgu, co najczęściej kończy się zgonem zażywającego.

- Skąd więc u pacjentki takie objawy i tak wysokie stężenie Metoltexu? Przecież, na Boga, ona tu leży prawie od czterdziestu lat! - ordynator wyraźnie podniósł głos.

- Może to - wtrącił się albinos - sama przysadka mózgowa pacjentki produkuje ten związek? Wygląda mi na to, że została kiedyś sztucznie przeprogramowana, prawdopodobnie z pomocą nieznanego nam mutagenu i teraz jej organizm produkuje substancję równoważną z Metoltexem.

- Ktoś, chyba jakiś student, parę lat temu - rzekł ordynator - proponował podobne wyjaśnienie - czynnik endogeny. Z wiadomych przyczyn, nie mogliśmy tego sprawdzić. A tym bardziej nie mieliśmy wtedy jeszcze aparatury, ani wiedzy, pozwalającej wykryć istnienie Metoltexu.

- Trudno wykryć coś, czego się nie szuka.

- Nie wiem, co powinniśmy teraz zrobić. Sugeruję utrzymanie naszych odkryć, dotyczących pacjentki w całkowitej tajemnicy, do której panów właśnie zobowiązuję. Przekażemy ją do formacji badawczej GeNeonics.

- Do nich? - zapytał lekarz albinos. - Oni ją tam zabiją - dodał już cicho.

- Ona nie żyje od trzydziestu ośmiu lat, a nawet, jeśli uda się jej wydostać spod wpływu narkotyku... kto wie, czy nie byłoby dla niej lepiej, żeby zostawić ją tak jak teraz.

Anna na czworakach systematycznie obchodziła dookoła szczyt marmurowej wieży, starając się znaleźć jakieś szczególne miejsce. Coś, co dałoby jej jakiś punkt zaczepienia dla rąk i stóp. Na jedyną taką rzecz natrafiła zupełnie przypadkiem, w miejscu pomiędzy dwoma szczytami, głęboko we mgle. To, co wymacała, miało kształt niewielkiej kuli, do połowy wpuszczonej w marmur. Było zimne w dotyku i wcale nie dawało gwarancji pewnego oparcia. Mimo to, zachęcona tym małym sukcesem zaczęła szukać jeszcze raz, zaczynając od kuli. Również we mgle, w odległości około metra od poprzedniej, znalazła drugą, identyczną, położoną trochę niżej.

- Pewnie one schodzą, dookoła szczytu, spiralą - pomyślała. - Może dałoby się nimi jakoś ostrożnie zejść.

- Oj, uważaj, moja droga - odpowiedziała jej mgła. - Widzę, że odnalazłaś swoją nadzieję, ale uważaj, nadzieje często są złudne.

- Nie słuchaj tych głupot - krzyknęła kobieta z drugiego szczytu. - Ona chce ci tylko namieszać w głowie, żebyś się stąd nigdy nie wydostała.

- Nie będę was słuchać - powiedziała Anna i wykonała gest jak gdyby chciała zatkać uszy. - Jestem już wystarczająco duża, żeby sama decydować o swoim losie - przy ostatnich słowach, jej głos nagle zafałszował i zaskrzeczał, jak u nastolatki.

Złapała się krawędzi marmurowego urwiska i ostrożnie zsunęła najpierw jedną, a potem drugą nogę. Bosą stopą wymacała kulę i oparła się na niej. Zsunęła się jeszcze niżej i drugą nogę oparła na kolejnej. Miała jeszcze ze trzydzieści centymetrów luzu, więc spróbowała wyczuć, co znajduje się pod nią. Kilka centymetrów pod pierwszą była kolejna, nieco większa, od której odchodziła w kierunku góry liną. Opuszczając się poniżej drugiej kuli, Anna wyczuła coś podobnego.

- Nie umiem chodzić po linie - pomyślała. Ale muszę w końcu spróbować się stąd wydostać. Ani ta druga Anna, ciągle wykonująca zapraszające gesty, ani mgła, nie odpowiedziały.

Namacala ponownie bliżej położoną linę i skoczyła w dół, we mgłę.

Poślizgnęła się na gładkiej powierzchni i zaczęła spadać. Zaciśnęła kurczowo dłonie i w momencie, gdy przygotowywała swoje ramiona na ból gwałtownego szarpnięcia, jej nogi dotknęły podłoża. Nie utrzymała równowagi i upadła. Pólsiedziała teraz na czymś rozpostartym pomiędzy dwoma znajdującymi się jeszcze niżej linami, lewą ręką uczipiona tej, na której się poślizgnęła.

- Jaki ładny mostek! - krzyknęła głośno. - A więc to jest to miejsce, które próbowałaś przede mną ukryć?!

- Tak - odparła mgła. - To najgorsza możliwość, chociaż najwygodniejsza. Nie słyszałaś nigdy, że do piekła prowadzi prosta i szeroka droga?

- Cóż za nagłe, religijne podejście. Chyba nie przystoi czemuś, co chce się podawać za mój instynkt samozachowawczy. Nie pamiętam, żebym była bardzo religijna i wierzyła w jakieś raje, piekła, demony, diabły i tym podobne anioły.

- Wprowadzić sondę - powiedział siedzący przy monitorze lekarz, ubrany w biohermetyczny kombinezon.

Anna Sawers leżała na jedynym stole w sali operacyjnej. Pod sufitem wisały dwa zestawy lamp. Oba były włączone i skierowane na pacjentkę. Krótszą ścianę pomieszczenia prawie w całości pokrywały ekrany i urządzenia. Wystające ze ściany, na wysokości około dwóch metrów od podłogi, grube metalowe ramie, zakończone było, wiszącym w tej chwili nad Anną, zestawem manipulatorów. Jeden z nich zbliżył się do

ogolonej głowy pacjentki. Ramię rozdzieliło się na trzy części, przypominające palce żaby, rozcapierzyło je i oparło o jej głowę, na wysokości zawiasu zuchwy. Aparat wydał z siebie ciche syknięcie i w czaszkę kobiety wbiła się cienka, długa igła, zakończona mikrokamerą, manipulatorem i końcówką molekularnego dozownika chemicznego.

Jej ostatnie słowa zagłuszył wzmagający się nagle szum. Sponad mgły opadał jasny, świecący walec. Z jego dwóch boków wystawały piękne, długie, białe, bardzo anielsko wyglądające skrzydła.

- "Jeszcze tego mi tu brakowało", - pomyślała - "kimkolwiek, do jasnej cholery by był".

Walec zleciał niżej, szumiąc jeszcze głośniejsze, aż zatrzymał się kilka metrów nad Anną. Miał przynajmniej trzy metry długości i metr średnicy. Ze strony, którą był skierowany w jej kierunku, wysunęły się dwa wąsy i zaczęły bębnić o podstawę walca. Robiły to coraz szybciej, aż bębnienie zamieniło się w jednostajny brzęk, z którego powoli dawało się wyodrębnić pojedyncze dźwięki. Po chwili przerodziły się one w metalicznie brzmiący głos, w którym Anna była w stanie rozróżnić coraz więcej słów.

- ...groźbą ingerencji..., zawieszenie odległe..., alarm czasowy drugiego stopnia... wyżej wymieniona jednostka zostaje zwolniona z powinności zależnego współistnienia. Implantowanie wstecznej, zastępczej osobowości w toku. Prześwit subchrononowy pozostanie otwarty do samoistnego odwołania recesywnego bieżącego continuum lub naturalnej śmierci jednostki.

- A ty, coś za jeden? - zapytała zdziwiona Anna.

Cylinder nie odpowiedział, tylko obrócił się powoli o sto osiemdziesiąt stopni. Z tyłu miał zakratowany otwór, przez który wyraźnie było widać gwiazdy. Krata otworzyła się i zaczęła teleskopowo rozkładać do dołu, tworząc coś w rodzaju drabiny.

- Nie idź tam! - krzyczała Anna z drugiego szczytu.

- Nie idź tam, bo umrzesz! - krzyczał instynkt samozachowawczy w postaci mgły.

- Nie idź tam, bo nigdy nie zaistniejesz - wyszeptał jakiś nowy, trzeci głos, dobywający się spod wiszącego mostku.

- Mam was już dość, pieprzcie się teraz wszyscy - odpowiedziała im Anna i wymownie wyprostowała środkowy palec prawej ręki.

Podeszła po mostku, w kierunku wiszącego nad nią, ciągle brzęczącego walca. Zaczęła wspinać się po drabinie, a wiatr, wywołany ruchem anielskich skrzydeł, zawiewał jej włosy na twarz. Gdy była już przy wejściu do wnętrza, odwróciła się. Oba szczyty, most i mgła, wszystko znikło, a na ich miejsce pojawiły się falujące kontury blado-błękitnej sali operacyjnej. Zrobiła ostatni krok, weszła na czworakach do kilkumetrowej rury i wyszła z jej drugiej strony.

Kosmos był piękny. Czerń przetykana różnokolorowymi obłokami i różnej wielkości i jasności gwiazdami. Anna odepchnęła się nogami od walca i poleciała przed siebie. Gdzieś wewnątrz pojawiło się uczucie, że już tu kiedyś była.

- Witaj, Anno - usłyszała nagle zza siebie. Odwróciła się. W przestrzeni unosił się mężczyzna. Był chudy i niski, miał krótkie, przeredzone, ciemne włosy i wydatny, haczykowaty nos. Uśmiechał się.

- Witaj... nieznajomy - grzecznie odpowiedziała. - Mogę zapytać, kim jesteś i skąd mnie znasz?

- Najmocniej przepraszam, wybaczone, zapomniałem o manierach. Nazywam się Paul Dimcke. Przybyłem tu, by cię spotkać i odpowiedzieć na kilka twoich pytań. Notabene to ja wysłałem po ciebie kapsułę, za pomocą której się tu dostałaś. Sam natomiast znalazłem się tu dużo wcześniej, niż powinienem, przez ciebie. Ale to dłuższa historia i porozmawiamy o tym, gdy już w pełni dojdiesz do siebie.

- Dobrze, cieszę się niezmiernie i dziękuję za ratunek - Anna uśmiechnęła się. - Co to za miejsce?

- Nie pamiętasz... ale niedługo sobie przypomnisz. Postaram się ci pomóc. To jest nasz dom. Dom wszystkich żywych istot. To miejsce jest prawdziwym Bogiem. My wszyscy jesteśmy prawdziwym Bogiem. Ty też.

- Ja... ja nie jestem zbyt religijna, chyba. To znaczy... wierzę w Boga, ale... nie wiem... nie wiem, czy takiego, nie rozumiem - w jej oczach pojawiły się łzy. Paul podleciał blisko przygarbując ją do siebie i pozwolił, by wtuliła swą głowę pod jego ramię.

- Zobaczysz Aniu, przypomnisz sobie jeszcze. Miałaś bardzo złe przeżycia. Chodź, zaprowadzę cię do domu - powiedział i zaczęli lecieć w kierunku którejś z niezliczonych, odległych gwiazd.

- Uwaga! Budzi się - krzyknął technik wpatrujący się w ekrany.

Oczy wszystkich obecnych natychmiast zwróciły się w kierunku monitorów umieszczonych na ścianie. Dwóch lekarzy podbiegło do unieruchomionej pacjentki.

- Gdzie...? Gdzie ja jestem? - zapytała Anna, gdy zobaczyła pochylające się nad nią postacie w biohermetycznych kombinezonach.



- Wszystko w porządku, proszę pani, była pani bardzo chora - odparł pierwszy z lekarzy. - Ale kryzys już minął i powinna pani powoli wracać do zdrowia. Czy pamięta pani, jak się nazywa, ile ma pani lat i co pani ostatnio robiła?

- Tak, chyba tak. Anna Sawers, mam dwadzieścia pięć lat. Wczoraj zastałam w pracy, chyba w swoim biurze, w Puelle Parfums.

- Rozumiem, teraz proszę się nie denerwować. Była pani przez dłuższy czas w śpiączce. Prawdę mówiąc, nikt z nas nie wierzył, że można pani jeszcze pomóc.

- Dłuższy? Ile czasu? Czy jest tu mój brat? Chcę z nim porozmawiać.

- Niestety, pani brat Patrick nie żyje, zginął, prowadząc samochód pod wpływem alkoholu.

- Jak to nie żyje? - Anna usiłowała podnieść głowę, by się rozejrzeć. Nie udało jej się, była mocno przywiązana do stołu. Kątem oka dostrzegła, na którymś z otaczających ją aparatów, swoje zniekształcone odbicie. - Przecież on prawie nigdy nie pił. Kiedy zginął?

- ...Trzydzieści jeden lat temu...

- Co?! - w jej oczach było widać przerażenie. Technik, widząc na monitorze gwałtowny wzrost tętna i ciśnienia krwi, wprowadził do jej krwioobiegu kilka substancji rozluźniających.

- Anno Sawers - zaczął lekarz, przełknął ślinę i kontynuował - była pani w śpiączce ponad trzydzieści osiem lat. Obecnie ma pani sześćdziesiąt trzy.

- ...Pozwólcie mi umrzeć - szepnęła zastępcza osobowość Anny i popadła w apatię.

To, co mijali lecąc, rozmywało się w jasne kreski. Nagle zatrzymali się.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Paul. Anna pociągnęła nosem i otarła wilgotne oczy. Wysunęła głowę spod jego ramienia i rozejrzała się.

Znajdowali się na płaskiej, kwadratowej powierzchni. Tu, gdzie stali, rosła wysoka trawa. W przeciwległym rogu tego dziwnego, kwadratowego miejsca, stał mały, parterowy domek z czerwonym dachem. Otoczony był krzakami kwitnącego bzu. Za domkiem, tuż przy krawędzi kwadratu, rosły wysokie topole. Mimo tego, że nad głowami mieli tylko rozgwieżdżone niebo, wszędzie było jasno i ciepło. Anna uśmiechnęła się nagle i wciągnęła głęboko świeże powietrze. W jej oczach ponownie pojawiły się łzy. Tym razem były to jednak łzy ulgi i szczęścia. Przykucnęła i wyciągnęła przed siebie dłoń. Z trawy, spod jej palców, leniwie wyciągnęła się do góry piękna, jaskrawoczerwona róża.

- Wstąpisz na gorącą czekoladę? - zapytała. - Wstąpisz do mojego domu?

27 kwietnia - 5 maja 2001

Koniec